

GALICJA W KRAINIE CZARÓW

ANTOLOGIA POEZJI POLSKIEJ
MIĘDZYWOJENNEGO LWOWA

WYBÓR I OPRACOWANIE

Katarzyna Sadkowska



SŁOWO WSTĘPNE

Wysoki Zamek, Hetmańskie Wały,
Abu Park Stryjski w jaśminach cały,
Abu Łyczaków, abu Kliparów,
Istna „Galicja” w krainie czarów...¹

Feliks Konarski (Ref-Ren), *Batiar lwowski*

Roman Makarewicz i młodszy od niego Mirosław Żuławski wspominali, że całe ich pokolenie zrobione było z literatury² i w nią uciekało. Ona nierzadko dostarczała im wzorców zachowań³. Dlatego też na tytuł antologii wybrałam wyimek z wiersza Feliksa Konarskiego (Ref-Rena) sławiącego na emigracji czar ukochanego miasta w wierszu *Batiar lwowski*.

Wyrażenie „Galicja w krainie czarów” w tytule antologii oznacza jednak co innego niż w wierszu, bo Lwów międzywojenny był także miejscem – cytując Norwidowski *Psalm wigilii* – „rozczału”. Tytułowa kraina czarów to – w mojej intencji – poezja, która wyraża i transponuje

1 Wiersz cytuję za antologią *Serce wydarte z polskiej piersi – Lwów w poezji*, zebr. i oprac. D.B. Łomaczewska (pod pseud. Jerzy Wereszyca), Warszawa 1993.

2 Nawet Stanisław Lem opublikował swój debiutancki wiersz *Gama kolorowa* w 153. numerze „Naszej Opinii” w 1937 roku. Wiersze publikował też Erwin Axer. Debiutował w r. 1933 we „Wczoraj–Dziś–Jutro”.

3 Mirosław Żuławski uratował się z sowieckiego przypadkowego aresztowania dzięki pytaniu, które sobie zadał: „jak zachowałby się bohater Stendhala – piewcy postawy heroicznej, w którym zaczytywał się ostatnie miesiące?”. Opowieść tę skwitował następująco: „Historię ze Stendhalem dedykuję tym, którzy twierdzą, że literatura do niczego nie jest przydatna. Całe moje pokolenie zrobione było z literatury”. M. Żuławski, *Album domowe. Felietony 1990–1995*, Warszawa 1997, s. 200, 202.

doświadczenia lwowskie z lat 1919–1939. Jak napisał Roman Makarewicz: „Poezja to było medium, przez które mogliśmy łatwiej rozumieć siebie i otoczenie. Sposób życia i ucieczka od życia”⁴.

* * *

W antologii prezentuję poezję Lwowa – częściowo zapomnianą, a po 1945 roku w dużej mierze nieobecną w świadomości badaczy i czytelników – by umożliwić odkrycie i rozpoznanie tego ważnego elementu geografii literackiej międzywojnia.

W tomie (który nie rości sobie pretensji do kanoniczności) znajdują się wiersze poetek i poetów związanych ze Lwowem w latach 1919–1939, tworzących tam i mieszkających (dłużej lub krócej). Jest to, jak sądzę, wybór najlepszych i najbardziej reprezentatywnych utworów w języku polskim, świadczących o indywidualnych – życiowych i historycznych – doświadczeniach autorów. Ze względu na kryterium „geograficzne” pominięto Leopolda Staffa, przebywającego już wtedy w Warszawie (choć był we Lwowie czytany i powracał tam pośrednio, przez Skamandrytów).

Mimo intencji historycznoliterackiej wybór wierszy pozostaje do pewnego stopnia (nieuchronnie) subiektywny, dając obraz z konieczności niepełny. Jednym z celów wyboru było pogodzenie ważności historycznej poszczególnych elementów tomu i przyjemności estetycznej w ich odbiorze. Ogromna większość zawartych w antologii utworów nie straciła bowiem do dziś swojej świeżości i wartości.

Nazwiska poetów ułożono według klucza chronologii debiutów literackich, uwzględniając dodatkowo grupy, co pozwala dostrzec

4 R. Makarewicz, *Wiosna i zima. Wiersze lwowskie*, Londyn 1972, s. 14. Makarewicz pisał dalej: „Nie szukaliśmy (jak nas o to posądzał Hemar) wydawcy. Szukaliśmy tylko siebie. Wyżywaaliśmy się w abstrakcji, w poezji pisanej czy niepisanej. [...] Szukaliśmy tej poezji w cudzych mieszkaniach, w kawiarniach, w knajpach, w oczach mijanych pań i panienek. Na Akademickiej, na korsie, po dwunastówce. U Atlasa, gdzie królował Zbierzchowski a paziował Zahradnik. Odczuwaliśmy nieokiełznaną potrzebę wyrażania się. Własną albo cudzą poezją”.

zarówno sygnały wspólnoty, jak i indywidualny charakter poezji. Jan Śpiewak twierdził, że przyjaźń z Pasternakiem i Lecem nie prowadziła go do podobnego stylu – wprost przeciwnie, każdy szedł coraz bardziej swoją drogą. Podobnie było z Rybałtami.

Wierszom towarzyszą różnej długości szkice do portretów poszczególnych poetów, głównie biograficzne, osadzające życie twórców m.in. w perspektywie lokalnej. Najdłuższe teksty poświęcono postaciom mniej znanym lub zapomnianym, krótsze – tym, o których wiemy bardzo dużo. Każdy z biogramów mógłby zostać, oczywiście, uzupełniony o kolejne szczegóły.

Aby poezja mogła znaleźć się w centrum uwagi czytelnika, szkic z historii ruchu literackiego we Lwowie oraz próbę analizy twórczości poetyckiej międzywojennej w tym mieście przeniesiono do *Posłowie*.

Katarzyna Sadkowska

JAN KASPROWICZ

1860-1926

Tłumacz, krytyk literacki i teatralny, dramaturg, rektor Uniwersytetu Jana Kazimierza. Jako poeta debiutował w r. 1878 w poznańskim tygodniku „Lech”. Konflikt polsko-ukraiński (1918) przeżył we Lwowie. Współpracował z dwutygodnikiem satyrycznym „Szczutek”. Po r. 1919 stopniowo przenosił się na ukochane Podhale, gdzie cztery lata później ze swoją trzecią żoną, Marią Bunin, osiadł na stałe w willi Harenda zakupionej z pożyczki na poczet tłumaczenia Szekspira.

Wiersze pochodzące z tego ostatniego okresu życia wydane w tomie *Mój świat* (1926) oprócz obrazków z Podhala zawierają motywy charakterystyczne dla całej twórczości Kasprowicza: radość z obcowania z przyrodą, niepokój wywołany pytaniami o naturę zła i Boga, który dopuszcza jego istnienie. Ludzką rozpacz wobec niewinnego cierpienia łagodzi dostrzeganie współlistniejącego z nim dobra, miłości, a także kruchego, bo szybko przemijającego piękna. Mimo wszystko Kasprowicz godzi się w tych utworach ze światem i nadchodzącą śmiercią, używając swobodnie różnych konwencji artystycznych i językowych.

Nie odnalazłszy się w nowej epoce powojennej ani jako poeta, ani jako obywatel (był raczej rozzarowanym obserwatorem pierwszych lat upragnionej niepodległości), pozostał „przedwojenny” – także w swoim uwielbieniu dla kultury starożytnej. Dał temu wyraz m.in. w tłumaczeniach dramatów Eurypidesa i Ajschylosa. Ślad fascynacji antykiem i tęsknoty za „światem wczorajszym” widać w wierszu ****Powiadam sobie nieraz* dedykowanym jednemu z przyjaciół lwowskich – Mieczysławowi Treterowi.

Opublikowane teksty pochodzą z tomu: J. Kasprowicz, *Mój świat. Pieśni na gęśliczkach i malowanki na szkle*, Warszawa 1926; z wyjątkiem: *** *Powiadam sobie nieraz...* wg rękopisu Muzeum Literatury w Warszawie sygn. 19.305 cim.; *** *Ano! więc mamy silny rząd...* prwdr. „Szczutek” 1920 nr 2.

*** POWIADAM SOBIE NIERAZ...

Powiadam sobie nieraz: kto greckiej nie kocha
Poezji, ten jest nie wart, by się zwał człowiekiem.
Niestety zbyt jest mało dzisiaj takich ludzi,
Co dźwiękom by tragicznym lutni Ajschylosa
Czy liry Eurypida nadstawili ucha,
I potem, odłożywszy księgę, tak szarpiącą,
A przecież tak uroczą, oddali się niemej
Zadumie i tonęli w dawno zmarłym świecie,
A wszak odsłaniającym aż po dni dzisiejsze
Istotę czarów życia. Śmierć to więc pozorna.
Natomiast śmierć prawdziwa kryje się w tych śmiesznych
Podrygach linoskocznych, którym snob lub błazen
Zapamiętałe bije oklaski, szczęśliwy,
Że wreszcie poszła sobie spać chmurna Powaga
I palcem nie wskazuje na pustkę zabawy...
Lecz nie to, panie Mieczku, chciałem ci napisać
Na tomów tych początku, a tylko przygodnie
Wspomniawszy o różnicy między dziś a wczora,
Pragnąłem Twą uwagę zwrócić na muzykę –
Sam przecie grywać lubisz – , jaka i w tym, mówią,
„Realnym” Eurypidzie rozbrzmiewa, tak, nawet
W tych moich przepolszczeniach przecudownych chorów
Drgających znowu bolem i rozkoszą życia.
Przeczytaj je więc sobie, tylko proszę, głośno,
I chciej dopuścić do nich uszy pani Loli,
Ażeby, gdy się kiedyś wydarzy sposobność
Powiedzieć mi słoweczko o waszem wrażeniu,

Bo radbym się też wyznać, ilu w mojem gronie
Prawdziwych ma przyjaciół stary świat hellencki.
(Mam bowiem przekonanie, że usłyszę prawdę,
Boć kłamstwo, najgrzeczniejsze, grzeczności nie godne).

Twój

Jan

Lwów 1921

* * * ANO! WIĘC MAMY SILNY RZĄD...

Ano! więc mamy silny rząd,
Takie nas wieści dochodzą
Z onej Warszawy, gdzie się wciąż
Cudowne grzyby rodzą

Po każdym deszczu, choć ten deszcz
Nie zbyt pomyślny dla żyta
Czy dla kartofli – ale któż
O takie głupstwa dziś pyta!

Dosyć, że mamy silny rząd –
Pokłon ci, silny rządzie! –
Może się wreszcie Polski gmach
W swych fundamentach osiadzie.

Ponoć niepewnie stoi on,
Chwieją się jego ściany,
Złośliwi twierdzą, że nasz dom
Na bagnach jest zbudowany.

Ile w tem racji, trudno rzec –
Przesada niemała, zda się,
Natomiast przyzna każdy z nas,
Że inna jest prawda na czasie:

Kał, nieporządek, śmieci stek
Najlepszą budowę zburzy,

Jeżeli tęgich nie ma w niej
I presumiennych stróży.

Podnosi nogę lada pies,
Zostawia znak swój u węgła,
Widząc, że nie ma żadnej z władz,
Coby go miotłą dosięgła.

Zachodzi rabuś w taki gmach
Otwarcie nie pokryjomu,
I tak się szasta, jakby on
Był gospodarzem w tym domu.

Zjawi się jaki śmiałek w czas,
Szlachetny cywil czy żołnierz,
Biada mu, jeśli śmiałość miał
Pochwycić lotra za kołnierz.

Jasny pan złodziej ma swą broń!
Zagrozi protektorami
Lub też spółnika chce mieć w nim:
„Pracuj pan razem z nami!”

Lub mu łapówkę wciska w dłoń,
A widząc, że z trudem go kupi,
Wraz go na ambit gotów wziąć:
„Dla czegoś waćpan tak głupi?!!”

To się i tamto szerzy zło.
Taka moralność się wzmaga

Jeśli dozorców odbiegł hart,
Jeśli ich rzuca odwaga.

Jeśli rozumu jest im brak,
Że trzeba żelaznej miotły,
By wynieść brudy, co już dziś
Tak strasznie w dom się nasz wgniotły.

Przykro spoglądać – chyba człek
Całkiem już z wstydu się spali –
Jak sobie ktoś zatyka nos
I obojętnie mknie dalej.

A czyż nie mniejszy jest to srom –
Hańb takich chyba niewiele, –
Że idąc mimo naszych ścian,
Litują się przyjaciele.

Zaś z cicha szydzi czujny wróg
I chytrą żywi nadzieję,
Że na ratunek przyjdzie on
I potem w głos się zaśmieje.

Niedoczekanie, wrogu, twe,
Z miotłą do naszej bramy
Ty się nie zbliżysz, bo już dziś
Przesilnych dozorców mamy!

Tak mówią wszyscy, taka wieść
Nadchodzi do nas z Warszawy,

Gdzie na cudownych grzybów tłum
Jest lada deszczyk łaskawy.

PORANEK

Zwykle się kładę z kurami,
A ze skowronkiem się budzę,
Ażeby oczy wykapać
W złocistej słonecznej strudze.

Wychodzę sobie w koszuli
I na bosaka na ganek
I, pasek ściągając na spodniach,
Patrzę, jak wstaje poranek.

Jak się z słonecznej kąpeli
Wychyla po cichu, powoli,
Jak bryzga mi w oko iskrami,
Że aż mnie oko boli.

Kogut za ścianą, w podwórku,
W ton najgłośniejszy uderza,
Zadowolone kociątko
Mruczy, zwijając się w jeża.

Piwonie, narcyzy, stokrotki
Głowy do góry podnoszą,
Widać, że słońce poranne
Z wielką witają rozkoszą.

Wróble, obsiadłszy poręczę
Kładki, zdumione świergocą,